

Pułkownik, Lowka Bogdanowycz trzymał mowę. Pozostali, mocząc usta w gorącym piwie, gapili się na starego wiarusa i dmuchali w manierki. Mróz mieszał się z parą i usypiał siwym szronem na wąsach.

- To będzie, jak ja mówił! Wilki wyjdą z tamtej strony - wskazał lufami dubeltówki na las. - Pilnujcie się strzelcy! Jak dobiegną do połowy polany, macie zabijać i uważajcie, bo wilk, to zawsze wilk. Może atakować!

- Bogdanowycz! - Łemko Bury uniósł się w siodle. - Ja podjadę do nagonki, pozwolicie?

- Goń! Niech idą w las! Koniecznie! Swołocz naganiać na polanę...! My im powiemy... Zdrastwujcie.

W kotle ustawionym na kamiennym palenisku gotował się bigos, a miejscowe kobiety królowały przy stołach. Kielbasy, niczym warkocze ukraińskiej narzeczony wity się pomiędzy bochenkami chleba. Bury położył lufę sztucera na zadzie kobyły i pogalopował przez sypki śnieg.

- A teraz, pozwólcie towarzysze, pokażę wam swoje medaliery.

Bogdanowycz świsnął pod nosem.

- Oto moje wojsko - rzekł miękko.

Z domu wybiegły dwa wielkie owczarki i usłużnie przysiadły przy nodze Lowki.

- Ten mniejszy, Zula, suka moja jedyna - podrapał psa po karku. - Dwa razy życie moje ratowała. Raz na Odrze, zębami mnie zdzierzyła i do niemieckiego brzegu spłynęła. Drugi raz w Berlinie, przed miną pozór dała - rozłożyła długie ręce na boki. - Ot, taka suka maja!

Myśliwi zasłuchali się w Bogdanowycza i z podziwem oglądali psy. Każdy wilczur miał szeroką obrozę z mocowanymi do czarnej skóry medalami.

- Dzygit, - pułkownik poklepał wielkiego owczarka po głowie - to bestia. Na własne oczy, towarzysze, widziałem jak wyrwał jednemu zdrajcy gardło. Szkolony był na wrogie tanki i miał iść z granatami, ale ja go zabrałem do siebie. Usynowiłem, bracia, jak swego. Cztery orderzy dostał za męstwo!

- Swój pies! - zawołał któryś

- Swój pies - powtórzyli inni i skłonili głowy przed Lowką. - U nas takich nie masz.

- Oj... Nie masz.

Młaskali w podziwie i pstrykali palcami. Mróz szczypał policzki i kleił oczy, a piwo grzało pod kożuchami. Kobiety w śmiesznie dużych walonkach, tańczyły nad bigosem.

Od strony lasu przygalopował Łemko Bury. Wyhamował przed Bogdanowyczem, aż koń przysiadł na zadzie.

- Melduję! Nagonka poszła!

- To teraz, moi myśliwcy - rzekł pułkownik. - Stroić giwery i na stanowiska!

Jak na złość sypnęło śniegiem. Spadł drobny, a zimny i bił po twarzach do bólu. Wiatr zamiatał płatki i gęstymi chmurami wirował nad polaną.

- Towarzysze! - zawołał pogodnie Bogdanowycz.

- Pamiętajcie. Za każdego wilka całe sto złociszów! Płacą bez wyjątku, za każdą sztukę.

Myśliwi zatarli ręce, pochuchali w rękawice i rozeszli się w stronę polany na ustalone stanowiska. Każdy wziął w kieszeń flaszkę wódki i garść nabojów. Pożegnani krzyżem na drogę, pogłaskani kobiecą ręką wyszli naprzeciw wilkom. Od strony lasu słychać było wystrzały jak werbelki i pohukiwania ludzi. To szła nagonka. Łemko Bury objechał na swojej kobyle linię i stwierdził bezpieczeństwo. Teraz on był łowczym i jemu podlegało wszystko. Mianował go wczoraj, przy wódce sam Lowka Bogdanowycz, bohater wojenny i figura w aparacie władzy. Burego otaczał wielki mir. Do dzisiaj był nikiem. Jako szeregowy przeszedł swój bojowy szlak i nikt nie powierzał mu takiego zaufania. Szedł zawsze gdzie mu kazano. Roztrącał na boki nieprzyjaciół i strzelał w przód. Zawsze zwrócony twarzą do wroga, modlił się o szczęście. Niemiec moich pleców nie widział - tak streszczał swoje wojowanie i to było wszystko, co

pamiętał. Jedno, co dała mu wojna, to wielkie zamięrowanie do wódki. Idąc na swoje miejsce, zwinął ze stołu dwie solidne butle majonego spirytusu.

Linia stanowisk, ułożona w długi półksiężyc, wsparła się plecami o świerkowy młodniak. Przed myśliwymi bieleła się łąka, płaska jak patelnia. Łemko Bury usadowiony w wygodnym gnieździe, pociągnął z butli. Alkohol wlewał się ogniem, palącym piersi. Dawał ciepło. Nad łąką wirowała zawieja, ograniczając widoczność do kilkunastu metrów. Bury precyzyjnie szykował sztucer do pracy, pociągając, co chwilę z butli. Po tym, jak jego dwaj bracia poszli na wschodnią stronę gór, wiedzeni słowem magnetycznym i wielkim, pozostał sam. Poszli za hyrem ognistym i ciężkim, które przyszło wraz z końcem wojny. Ktoś przyjechał na koniu i rzucił w spokojnych Łemków, jedno tylko słowo - Bandera. Powyciągali spod strzechy karabiny i wyprawieni na drogę, kawałkiem słoniny, odeszli. Ci, co pozostali, wybrali nienawiść innych, poniżenie w oczach przybywających osadników i podejrzliwość nowej władzy. Bury ułożył się wygodnie na wiązce słomy i popijając wódkę oczekiwał. Zamieć ograniczała widzenie do połowy polany, a wypity alkohol wchodził w krew i mącił wzrok.

- Bury! - Bogdanowycz sprawdzał stan. - Jesteś?

- Jestem, Bogdanowycz.

- Kulawy!

- Jestem

- Boško!

- Jezdem

- Fiodor!

- Tak toczno

- Pula!

- Jest

- To trzymajcie się, gnaty jedne! Wołki idut! Pasmatrim, kto giero!

Nagonka zaciskała pierścień wokół polany, a palba karabinowa mieszała się z okrzykami naganiaczy. Jazgot wystrzałów dochodził z każdej strony. Bury był pijany. Walczył z opadającą na sztucer głową i ogarniającym go snem. Wiedział, że nie może zawieść pułkownika. Gdy ujrzał wybiegające na środek dwie postacie wilków, pomyślał, że to podwójne, pijackie zwidy. Oddał strzał. Wilk wyskoczył w górę, wyrwany uderzeniem pocisku. Dobrze widzę - pomyślał - został jeden.

Po przeładowaniu zamka, oddał następny strzał i na polanie pozostała tylko biel śniegu. Ostatkiem sił wypił kilka łyków wódki i upadł nieprzytomny w słomę.

*

Lowka Bogdanowycz, ubrany w żółte bryczesy, tańczył wokół Burego. Podskakiwał na bosych nogach i co raz uderzał go w twarz. Bury siedział przywiązany do małego zydła, na środku izby, doprowadzony do trzeźwości, natarty śniegiem i polany lodowatą wodą. Kobiety zasłoniły sobą kocioł z bigosem i popłakiwały, chowając twarze w kolorowe zapaski.

- Faszysta! - wrzeszczał Buremu w twarz. - Faszysta i swołocz!

- Darujcie - seplenił z wypływającą ustami krwią - Bogdanowycz, darujcie.

- Widzicie go? Chachoł jeden! Izwinitie gadasz? Izwinitie? Bandyto i morderco! Skurwisynu, job twaju mać!

- Darujcie, nic nie wiem... Opіл żem się jak świniа. Wszystkom zabył.

- Aleś wódki nie zabył! - Bogdanowycz uderzył Burego w brzuch. - Suko!

Myśliwi siedzieli przy długim stole i w milczeniu przyglądali się scenie. Pułkownik parował wściekłością, a koszula Burego czerwieniła się krwią.

- Opіłem się, pułkownik Bogdanowycz - zapłakał. - Opіłem jak świniа... Śpik mnie wziął i odebrał

życie... Darujcie, towarzyszu.

Mówił bardzo cicho. Bogdanowycz przykładł ucho blisko jego ust i co słowo, uderzał głową w środek nosa.

- Masz! Faszysto... Suko!

Bury wiedział, że zrobił coś bardzo złego, ale co? Myślał i nic nie przychodziło mu do głowy. Wraz z utratą przytomności całkowicie zatracił pamięć. Nawet nie myślał, by zapytać. Bardziej niż bicia bał się prawdy. Po którymś kopnięciu stracił przytomność.

- Teraz, myśliwce moje, - Bogdanowycz dosiadł się do stołu - musimy coś postanowić. Radźcie!

- Jak tu radzić? Towarzyszu, on nasz, Łemko, tutejszy - łagodził stary Pulek.

- Izwinitie! - Przyłożył rękę do serca Fiodor.

- Pomiłujcie! - Skłonił się Boško, stary kłusownik.

- A może on faszysta i szpion od Bandery? - Zwałił Kulawy.

Pułkownik podszedł do kotła i zagarnął łyżką bigosu. Przez chwilę chodził, mlaskając gołymi stopami o klepisko.

- Wy tu czegoś nie zrozumieli - zaczął łagodnie. - To morderca i bandyta! Swołocz! - krzyknął i kopnął w zakrwawioną twarz Burego. - Ja tu coś wymyślę, robaczki moje! Nie takich ja sprawiał, nie takich jak ten.

- Może wódki dać? - zapytał Kulawy. - Napijmy, może coś wejdzie w łeb?

- Dawaj! Bigosu też podajcie.

Jedli i przepijali. Każdy myślał o Bury i snuł swoje domysły, co do jego losu. Zнали Bogdanowycza i wiedzieli, że jemu nie wolno sprzeciwiać się, bo to jak skazujący wyrok. Pułkownik był wielką figurą i trzymał władzę w całej okolicy. Gdy już pojedli i wypili kilka butelek wódki, Bogdanowycz powstał i rozkazał ocucić Burego. Kulawy wylał na nieprzytomnego wiadro wody. Bury wracał do świadomości.

- Widzisz ty mnie?! - zapytał pułkownik, pochylając się nad Bury. - Widzisz? Dywersancie!

- Widzę, towarzyszu.

- Bracia myśliwce! My zrobimy, jak powiem, - usiadł i przepił - jak wszystko, co tutaj powiem. Buremu zmienić gacie i koszulę. Dać mu na nogi sapożki, ale nie takie na śnieg, na drogę. Dać mu takie cerkiewne, cieniutkie i płytkie. Mogłem swołocz wykończyć, ale...

Na to "ale" wszyscy przyklasnęli, bo już wiedzieli, że to jedno słowo, ma większą wartość niż życie.

- Mogłem go wykończyć, - ciągnął mowę Bogdanowycz, - ale mam lepszy pomysł - uśmiechnął się i zatarł dłonie. - Podkurować mi go do rana, tak żeby stał na własnych nogach. A potem będzie zabawa. Rzekłem!

*

Obudzili go wczesnym świtem. Kazali ubrać się w bardzo cienki garnitur i buty dali, jak z papieru. - Bogdanowycz kazali - mówili na usprawiedliwienie i wciskali do kieszeni kawałki kielbasy. Bury był obity z każdej strony, do tego stopnia, że w bólu nie rozumiał, co się dzieje.

- Idź na Caryńską - szepnął mu do ucha Fiodor - tam bracia twoi ze strzałkami siedzą. Idź!

Przed domem myśliwi stali w szyku. Każdy z nich trzymał strzelbę, wspartą na ramieniu. Gdy wyszedł z piwnicy, zdjęli czapki na powitanie. Bury modlił się o szybką śmierć.

- Bury! - odezwał się pułkownik. - Dywersancie jeden! Swołocz jesteś faszystowska i zdrajca!

- Bogdanowycz! - odparł Bury. - Ty mnie faszystą nie nazywaj! Ja krew swoją przelewałem! Zabij, jak żem winien, ale nie obrażaj!

- Widzicie? Jaki gieroj!

- Gieroj! - potwierdził Bury. - Katujesz mnie! Krew mi upuszczasz niewinnie! Ludzie patrzą i widzą.

- Gdzie te ludzie? Te tutaj, to ludzie? Ty błądź jesteś, jak oni wszyscy!

- Tyś bladź, Bogdanowycz. Jeść ci tutaj dają!
- Patrzcie! Jaki się znalazł!
- Kończ, Bogdanowycz!
- Kończę! Faszystowski ryju! - Odbezpieczył pistolet i przystawił Buremu do głowy. - Dam ci szansę! Poznaj krasnoarmiejskie serce... Obyś sam zdechł! Pójdiesz sobie, rybeńko w las. Tak. Pójdiesz w las. Dam ci dwie godzinki, job twaju mać, dwie godzinki. Po czasie pójdziemy za tobą. Jak do nocy zdybiemy, to masz w czapę! Rozumiesz? W czapę! Będzie polowanie! Ot!
- Ruska świnią! - Buremu było już wszystko jedno. - Enkawudzista jesteś! Podły człowiek. Bogdanowycz zbladł jak śnieg. Myśliwi uciekli do domu i przyglądali się zza firanek. Odważne kobiety stały obok, owinięte kolorowymi chustami.
- Idź już! Bo ubiję!
Łemko Bury odwrócił się na pięcie i poszedł, w cienkich bucikach, w marynarce narzuconej na gołe ciało.
- Polaczki do mnie! - Bogdanowycz krzyknął w stronę domu. - Ktoś musi pochować moje medaliery! - Przez chwilę myślał, bijąc się szpicrutą po bucie. - A oskórować przed zakopaniem! Zapłacą jak za wilki, po całe sto złotych!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jerzy, dodano 16.12.2008 13:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.